

Bajki Purponów. Noc Wartburgii

Co my tam wiemy o trudach osadników walczących z przeciwnościami. Tylko ich oskarżamy o mordowanie Indian i rabowanie terakoty z pueblów. A Purponi napisali coś tam o ich znoju.

*Tę bajkę, mroczną i ponurą - i całą nadzieję, że błyskawica czasem przesyje niebo i coś rozświetli - dedykuję **Oculusowi**. Nie odnoszę wrażenia, by Oculus pławił się w czarnym humorze, absurdzie czy grozie, nie mniej nie o treść tu chodzi, lecz o sam gest dedykacji, który nigdy nie jest przypadkowym gestem herbacianej kurtuazji. Oculus dzieli się z nami pisanymi w klarownej, humorystycznej formie opowieściami z podróży, a nade wszystko wiedzą, która nie jest oczywista.*

Nie w podtopionych wyciekami mętnej żywicy mediach.

Wiedzą ważną i krzepiącą, bo dotyczącą nas i naszych korzeni.

I POTENCJAŁU, który jest może zagrzebany, ale TRWA.

Nikt go nam na pewno nie wygrzebie - sami musimy zakasać rękawy.

Wracając do bajki purpońskiej. Jest mroczno, więc zapalanie dostępnych w PRL (solidnych!) latarek (metalowych!) harcerskich z nasuwającym szkłem zielonym i czerwonym może sprawić otuchę.

Albo te błyskawice, jeśli poczekać do burzy.

Jeśli o błyskawice zaś chodzi... to nie zawsze pocieszają rozświetleniem. Czasem odstaniają nagle, i blisko, coś,co mogło pozostać ukryte w mroku i oszczędzić tym samym nasze serca.

Ale muszę rzec jedno. Niejedną błyskawicę widziałem, niejednen horror obejrzałem. I nic nie przebije tego, co w wielkiej zgrozie odsoniły race w filmie "Byliśmy żołnierzami". W tym akurat przypadku rozświetlono mrok i jego zawartość w ostatnim momencie...

Zapraszam do lektury. Tylko rodziców.

Chyba.



Bajki Purponów. Noc Wartburgii

Za siedmioma cmentarzami i siedmioma kostnicami...

- To całkiem niedaleko - zauważył Bełk.

I bardzo purpoński początek historii - pomyślałem, robiąc sobie wałek z poduszek, by usiąść wygodniej.

- Tak, naturalnie - skinęła głową piastunka. - To prawdziwa i zupełnie świeża historia. Otóż za siedmioma cmentarzami i siedmioma kostnicami, z których połowa powstała za rządów miłościwie nam panującego króla Jada, roztaczało się wielkie bagno. Wielkie i pełne wciągniętych ciał wędrowców i zwierząt o zaburzonym instynkcie. Bagno było wielkie, ale i tak ograniczone, bo otaczały je góry łupkowe, których siła bagienna, choć duża, rozsunać nie zdołała.

Z czasem bagno tak w y p c h a ł o s i ę trupami, że zatraciło swoje właściwości i zmieniło się w całkiem pożyteczny czarnoziem. Urodzajna gleba ściągnęła mnóstwo osadników o mężnych duszach, głównie Wiślan, Wartczan i Missisipian.

I choć połowa z nich zginęła w wypadkach w kopalni, przedzalni czy podczas montażu podziemnej kolejki górskiej,

to wkrótce – już dwa pokolenia później – powstała całkiem piękna osada, którą nazwano Wartburg, jako że Wartczan było najwięcej. Z kolei tacy Missisipianie stanowili ledwie 7% mieszkańców i byli dość dziwni. Na przykład nie chcieli korzystać ze sławojek – jak pozostałe szczepy – tylko załatwiali się pod plandekami furmanek dowożących pieczywo.

- Dziwni jacyś – skwitowała Dumeczka. – Sławojki są dyskretne i bezpieczne...

- Dziwni, to prawda – zgodziła się Pomoria – ale sławojki nie były bezpieczne. W okolicy brakowało drzewa, a rządzący osadą warchoł...

- Warchoł? – zmarszczyłem brwi. – Czemu go wybrano?

- W języku missisipijskim „warchoł” znaczy „sołtys”, mój drogi Harpie. Co prawda Wartczan było najwięcej, a Wiślanie byli mistrzami kremowania górnej połowy ciała i mumifikowania dolnej, ale to Missisipianie znali się na magistracie i dlatego przyjęto ich nazewnictwo, no i pierwszego warchoła wybrano spośród nich. Warchoł ten, imieniem Czuman a może Ukrad, zdecydował, aby drewno przeznaczyć tylko na budowę domów, kościołów i mostu zwodzonego, mającego zwodzić szpiegów sąsiednich krain. Most oczywiście prowadził znikąd donikąd, a przy tym prawie zawsze ginął we mgłę, którą preparowano na bieżąco w ramach ochrony pogranicza. Ostatni zapas drewna ocembrowano jako rezerwę wojenną pod szaniec antykawaleryjski lub nasyp dla pociągu pancernego – w zależności od sytuacji – nie mniej było to drewno surowo nienaruszalne pod karą rozciągnięcia...

- Końmi? – poblądł Bełk.

- ...o w c a m i.

Nikt drewna tego rezerwowego nie ruszył.

W rezultacie brakowało drewna na sławojki i budowano je z suszonych roślin bagiennych, głównie ze skrzypu i wełnianki. To nie był stabilny budulec. Bardzo dużo Wiślan i Wartczan zapadło się z krzykiem w otchłań toaletową, znikając w fekaliach, czego Missisipianie nie przegapili.

- Chyba już nie pójde do sławojki – wyszeptała Dumeczka.

- Spokojnie, moja śliczna, wszak sama wiesz, że zamkowe nie są skręcane z suszonych ziół, lecz wycinane w kwarcycie i oblewane czerwonym złotem.

Tak czy owak, Wartburg rozkwitł. A domy, na które poszło drewno z wszelkich zapasów, były piękne. Każdy zdobiono w unikalny sposób, każdy miał swoją aurę. Jeśli jeden był dębowy, to drugi brzoźowy, jeśli w jednym rynny stylizowano na sylwestrowe serpentyny, to w drugim na węże koralowe... A może to nawet były te węże, bo już po miesiącu nie doliczono się 200 kominiarzy. Gdzieś przepadli. – Piastunka umilkła i przez chwilę przyglądała nam się z wyraźną satysfakcją.

[Oczywiście słuchaliśmy jej z wytężoną uwagą, bliską chciwości. Była to nasza magiczna chwila, zwłaszcza, że na zamku nawet słowo „Purpon” było zabronione, a ojciec cukiernik sugerował piastunce, by nie zapędzała się w surowe historie i trzymała „sprawdzonej bajki o domku z wiórków kokosowych czy muszkatołowych, akuszerce i tej dwójce szkrabów, co tam zbłądziła po pijanemu”.]

- Tak... - Pomoria pokiwała głową z zadumą. – Szkoda, że osada spłonęła, prawda? Nic dziwnego, że drugą zbudowano już mniej starannie, zniechęcenie było zbyt silne. Poza tym akurat wszyscy cieśle zmarli od poparzeń. I aptekarze, młynarze, metalurzy...

I warchoł.

Ale część osadników przetrwała i postawiła nowe domy. Poszło na nie, oczywiście, drewno z rezerwy wojennej, nikt jednak nie bał się kary warchoła, po którym została tylko osmalona miednica, a i owce wszystkie w ogień wrzucono, biorąc je w zamieszaniu za kłęby piany przeciwpożarowej.

Domy były brzydkie. „Ale cóż – mówiono – prędzej czy później i tak spłoną.”

Pożar naruszył pokłady optymizmu, widać też całkiem drewnianej struktury, a zresztą zaraz po tym nieszczęściu wielu mieszkańców, zwanych ogólnie Wartburczykami zmarło od żywności, w którą wrastały szczątki potopionych. Jednak nikt nie narzekał.

Tym bardziej, że nowy warchoł, Wartczanin dwumetrowy i półtoraręki, za narzekanie karał powieszeniem bez sądu.

Pewnie dlatego zginął w zamachu...

Razem z zamachowcami, którzy źle obliczyli długość lontu.

Wkrótce po raz drugi pożar zrujnował Wartburg.

- Ojej – złożyła ręce Dumeczka.

- To któryś z mieszkańców nie wytrzymał nerwowego oczekiwania na pożar i sam podpalił kilka domów. Zwyczajnie z przedłużającego się napięcia o p i r o m a n i a ł.

- Ojej – zgodziłem się z siostrzyczką.

- Ten pożar był, niestety, większy od poprzedniego. Przepadli w ogniu, żarze lub czadzie wszyscy nieomal Wartburczycy. Zwęglenia uniknęła tylko rodzina Wyptaków, która akurat przez tydzień wekowała ogórki w piwnicy i nie miała pojęcia, co za dramat rozgrywa się nad nimi. Nie myślcie, że na widok cmentarza wokół domu załamali ręce i odebrali sobie życie – to byli twardzi i optymistyczni Wiślanie.

Tylko mała Sznapsa umarła, ale nikt nie miał o to pretensji, bo przebiła się mieczem niechcący, podczas obierania pikli na sernik.

Wyptakowie żyli więc szczęśliwi, chlubiąc się tym, że mieli najpiękniejsze słoneczniki w tej części Europy. To znaczy najpiękniejsze akurat w tym miejscu Europy, bo za górami łupkowymi rosły ładniejsze wielokroć.

Wyptak zwracał uwagę na bezpieczeństwo, zwłaszcza, że osada nie miała już ani władz, ani korpusu ochrony pogranicza, ani drewna wojennego.

Sam most zwodzony – czy raczej zwodzący – znikł w dymie pożarowym i już nigdy nie powrócił.

Zmobilizowany, pełen wiślańskiej energii Wyptak, zamontował w szafie pułapkę na włamywaczy: zapadnię, która wiodła do piwnicy, do kadzi z kwasem. O poczuciu humoru konstruktora świadczyło zamontowanie pozytywki: złot rabusia ku śmierci uatrakcyjniać miał skoczny ton folkloru westfalijskiego.

Pomysł przedni!

Szkoda, że Wyptak zapomniał uprzedzić żonę. Gdy w nocy pogryzły ją mole i szczypawice, postanowiła zmienić koszulę nocną. Zrobiła półprzytomny krok naprzód i... Mole tylko zafurkotały w powietrzu.

Wyptaka obudziły pieśni westfalijskie i do rana płakał nad krawędzią pułapki, później jednak zrozumiał, że o lepszy test sprawności zapadni byłoby trudno.

Mimo incydentu zdawało się, że życie Wyptaków było dość stabilne i pogodne. Słonecznikowe takie...

Gdy przyszła ta Noc Wartburgii. Czy wiecie, co się dzieje w Noc Wartburgii? – Pomoria przeszła nas takim spojrzeniem, że mnie i Dumeczkę przeszły dreszcze, z kolei Bełka niekoniecznie; leżał pod łóżkiem opancerzony kokonem z pierzyny.

- Nie... Nie trzeba – dobiegł bulgot stłumiony przez pościel.

- No, malczyku kochany, wiedzcie akurat trzeba; król nasz Jad wprowadził właśnie Noc Wartburgii do kalendarza w miejsce Dnia Latarnika Morskiego. Pan nasz uznał, że skoro nie mamy dostępu do morza, to oddawanie hołdu latarnikom jest niedorzeczne i grozi kompromitacją międzynarodową.

- A skąd się wzięło takie święto w naszym kalendarzu – zaciekałem się.

- Wprowadzono je w zeszłym roku na skutek pomyłki kartografa Kanadyna. Narysował on i rozesłał mapy, które ujawniały w granicach królestwa akwen morski, co jest nieprawdą, bo mamy tylko dwa ruczaje i gliniankę na północy. Król się zdenerwował i zażądał śledztwa. Kanadyn zdradził na torturach, że intencje miał dobre, że to mapy z wyprzedzeniem, bo armia grafa Nikczemna planuje podbić przed Wigilią Księstwo Półniktów, którego terytorium w 87% leży pod wodą morską.

Zrobiło się zamieszanie, bo o planach grafa Nikczemna też nasz władca nic nie słyszał. Na tortury wzięto więc i grafa, a na wszelki wypadek jeszcze całą wycieczkę bankierów półniktońskich, którzy akurat zwiedzali nasze kopalnie manganu. Wszystko dobrze się skończyło, trochę poturbowany Nikczemn przyznał się, że podbój morskiej krainy miał być prezentem-niespodzianką dla króla na urodziny. Jako zodiakalny zaporoziec król Jad obchodzi urodziny w styczniu, więc pomysł był wyborny.

- Ale już po niespodziance – jęknął Bełk, wystawiwszy uszy spod łóżka.

- Mimo to prezent cieszy i Jad nie może się doczekać. Jak powiedziałam, wszystko dobrze się skończyło, bo tortury w myśl nowej konstytucji są wyważone i humanistyczne. Prowadzą je roboty nakręcane sprężyną, z pracowni alchemika królewskiego Wrzawa. Graf Nikczemn może walczyć, tylko na stałe przyśrubowano go do konia, ponieważ roboty trochę się zacinały i wyjęły mu 206 kości.

I zgniotły je w ramach recyklingu.

- A kartograf Kanadyn?

- Kartograf nie przeżył. Jemu wyjęto 600 kości. Ale i tak marnie rysował. Mylił rzeki z koleinami od karawan ormiańskich.

- A wycieczka bankierów?

- Oni byli czyści.

- Czyli...?

- Pogrzebano ich pod podłogą cegielni. Oficjalnie zaprzeczamy, że jacykolwiek Półniktowie dotarli do nas w ciągu ostatnich dwunastu lat. To poufny rozkaz króla.

Zamyśliłem się.

- Polityka jest specyficzna – wymruczałem po chwili.

- To prawda – uśmiechnęła się Pomoria. – Tylko spryciarze i uwodziciele mogą czynić konkwistę. Reszta oddaje głowy.

- I kości – zdobyła się na nikły uśmiech Dumeczka. – A co z naszą osadą i Wyptakami, droga Pomorio?

- No właśnie, właśnie, wróćmy do bagien i strasznej nad nimi nocy... W Noc Wartburgii, którą jako tradycję przywlekli ze sobą Missisipianie, do głosu i czynu dochodzą wszelkie pomioty piekła. Zombi wychodzą po mózgi, wampiry po krew, wilkołaki po wątroby i płucoserca, chupacabry po zwierzęta hodowlane, poltergeisty zaś przedstawiają taborety w kuchni, rzucają nożami i warząchwiami, wmawiając osadnikom, że dom postawili na cmentarzu mohikańskim.

- Oddajcie mi mój sztylet – wymamrotał Bełk. – I kołczan...

- Rodzina Wyptaków nie ignorowała takich zagrożeń, może dlatego, że poprzednia Noc Wartburgii zabiła 36% populacji. Do świtu nikt nie zasnął, grano w kręgle planszowe lub pokrzepiano się historiami w stylu „jak strasznie było przed pożarem, kiedy to wszyscy bali się pożaru”.

Niestety, ojciec Wyptaków, Wyptak, zasnął. Niepotrzebnie spił się winem, aczkolwiek urodziny dają pewne przywileje... Co prawda miał je dopiero nazajutrz.

Przyśnił mu się straszliwy, nocnowartburiański koszmar. Wszystkie duchy wciągniętych przez bagna ludzi i zwierząt weszły mu do snu i zasypały porażającą umysł (zazwyczaj bezbronny w fazie REM) lawiną oskarżeń, wyrzutów, pogroźek, żalów, znie wag, szyderstw i ultimatów w rodzaju „Złóż nam całą swoją rodzinę w ofierze, bo inaczej zabijemy całą twoją rodzinę”. Nic dziwnego, że Wyptak obudził się trochę... hm, oszołomiony. W dodatku tak zapłakany, że wszystko widział jak przez mgłę i nieco plazmowo... Co gorsza, wokół łóżka dostrzegł dziwne, czarne, rozciągnięte, spiczastogłowe cienie.

- Chyba pójdę siusiu – wychrypiał Bełk.

- Mógłbyś – skinęła głową Pomoria – ale za drzwiami też mogą być spiczastogłowe cienie, tym bardziej, że król Jad nakazał od dziś oszczędzać energię i zredukować pochodnie korytarzowe o 600%. Zaoszczędzone pieniądze pójdą na zakup nowoczesnych haubic.

- O 600%? – Jako znakomity matematyk i astronom, mój brat był dość oszołomiony.

- Ale masz wszak nocnik pod łóżkiem, wytopiony z leukocytów pomordowanych jeńców wojennych.

- Tak, mam nocnik – potwierdził Bełk głucho.

- Czy chcesz, bym dokończyła bajkę jutro o 15.00 podczas deseru jeżynowego, w pełnym słońcu tarasowym i pod ochroną gwardii króla?

- Nie – odparł bez wahania Bełk, ku uldze mej i Dumeczki. – Jestem synem cukiernika i nie lękam się niczego poza rybikami cukrowymi.

Piastunka z uznaniem pokiwała głową.

- Będiesz kiedyś charyzmatycznym wodzem armii zmotoryzowanej – przepowiedziała z uroczystą miną. – A przynajmniej – dodała po namyśle – sierżantem halabardników z lewego skrzydła. A już na pewno skrytobójcą. A może rabusiem skór bobrowych. Albo pedlarem oszukującym Indian. Albo...

- Skrytobójcą może jednak – mruknął Bełk, po czym skorzystał z nocnika leukocytowego.

- Bełk będzie królem – oświadczyłem bez wahania.

Pomoria zerknęła na mnie zaskoczona.

- Tak, to możliwe... Jest bardzo zdecydowany w działaniach. I niech nie myśli, że nie zauważyłam, że pod pizamą ma nałożoną zbroję płytową. A ty, Harpie? Kim chciałbyś zostać?

- Generałem na pierwszej linii w czasach wojny i łowcą czarownic w czasach pokoju.

- Bardzo ambitne. Praktycznie przekreśla szanse na dożycie choćby okresu narzeczeństwa. Twoje męstwo jest godne krwi cukierniczej. No dobrze... Wróćmy do Nocy Wartburgii. Bo mimo dnia – wciąż trwała Noc Wartburgii. Noc ta jest dość żywa i bezkarną energią, która potrafi rozciągnąć się do tygodnia, by zabić lub opętać więcej istnień. Może ten Dzień Latarnika Morskiego nie był taki zły...

Przypomnę: Wyptak, zaplamiony, zażawiony, półślepy, półprzytomny, dojrzał cienie spiczastogłowe wokół siebie...
[Oczy błyszcząły nam jak zanurzone w sadzawce brylanty.]

Wyptak zerwał się z przerażającym wrzaskiem, godnym niedźwiedzia, z którego zdarto futro jednym pociągnięciem, niczym plaster...

„Nie dostaniecie mnie!” – krzyknął, po czym rzucił się do drzwi, doznając na skutek niedoboru bromu tudzież iperytu w organizmie, otwartych złamań piszczeli.

„Ależ...” – zaczęły zmieszane cienie, ale ojciec zagłuszył je rykiem.

„Ależ...” – podjęły znowu, gdy nabierał oddechu, lecz on nie chciał usłyszeć żadnych potworności na temat cmentarza Mohikanów.

Ani widzieć. Zasłaniając oczy i wyjąc zagłuszająco, podciągnął rozerwane nogi i desperackim skokiem dopadł progu. Oczywiście spadł po stromych schodach i złamał kręgosłup w sześciu miejscach.

Może by i przeżył...

Ale rozeźlona tak infantylnym zachowaniem rodzina, dobiła go workami z piaskiem.

W głowę.

Bo owe zamazane, spiczastogłowe cienie, na które spojrzął Wyptak spuchniętymi oczami, to była naturalnie jego rodzina.

W zapeczkach urodzinowych.

I cóż za nieszczęście! Zapierał się głupiec rękami, nogami i gardłem, by nie dopuścić „zjaw” do głosu, gdy tymczasem każda z ich – czy raczej każdy – każdy członek rodziny miał dla niego p r e z e n t u n i k a l n y.

- To chyba bajka ponad moje siły – jęknęła Dumeczka.

- Czy na pewno? Mogę opowiedzieć dla zrównoważenia bajkę „Żbik na Drutach”. Albo „Dziewczynkę z zapadniami”,

prawie purpońskie zakończenie...

- Nie! Wytrzymam... Nie chcę Żbika. To fałszerz rzeczywistości.

Z widocznym zadowoleniem Pomoria kontynuowała historię:

- Sześćcioletnia Opętia stała najbliższą łóżka tatusia swego półprzytomnego. Chciała mu wręczyć prezent naprawdę specjalny: zioło wysiorbca, które jako jedyne na świecie leczyło trapiący ojca Wyptaka w y m i o n i z m. Nie pytajcie, czym objawiała się ta kłopotliwa dla mężczyzn, zwłaszcza pracujących na basenie miejskim, choroba.

Dość powiedzieć, że z powodu wymionizmu Wyptak przegrał jedenaście kampanii wyborczych na warchoła.

Wymionizmu nie dało się ukryć, mimo że po mieście Wyptak poruszał się odziany w tuzin serdaków i kontusz obwieszony płytami łożnianymi. Zdradzały go krowie dźwięki i gwałtowne rozerwania odzieży.

Całą nadzieję pokładał więc w owym ziele i wdychał do niego każdego wieczora.

A prawdopodobieństwo znalezienia wysiorbca wynosiło 1 do 1750, toteż Opętia słusznie podskakiwała na swych koźlęco skręconych nogach, taką radość czuła i troszkę chępliwość.

Wszak tylko jej udało się wysiorbca odnaleźć.

Na próżno.

Czteroletni Tamburyn uszykował dla ojca nie mniej atrakcyjną niespodziankę: tort wieprzowy i kakao w dużej szklance, której brzeg oklejono cukrem, co uprzyjemniało picie.

Tu muszę podkreślić, że kakao było ulubionym napojem Wyptaka, przy czym nie pił go od czterdziestu lat, gdyż zaginęły swego czasu próbki kakao i nikt nie potrafił odtworzyć receptury.

Gdy w końcu udało się to alchemikom z sąsiedniej gminy, Tamburyn, dzielny brzdąc, sprzedał nerkę i grube jelito, żeby kupić pierwsze dostawy dla ukochanego ojca. Zasypał dostawami całą piwnicę i osobiście zaparzył solenizantowi szklankę w poranek urodzinowy.

Na próżno...

- Na próżno – powtórzyłem ponuro.

[Bajka purpońska zawsze silnie oddziaływała na słuchaczy. Albo przerażała, doprowadzając ciało do paraliżu, albo przygnębiała, doprowadzając ciało na parapet okienny szóstego piętra baszty, albo topiła umysł w kadzi posępnej beznadziei, doprowadzając ciało do...]

W zasadzie donikąd. Ciało tylko kostniało w bezruchu. Rezygnacja była tak silna, że odbierała chęci nawet na kroki samobójcze.]

- Wkrótce zresztą malec umarł – rozłożyła ręce Pomoria. – Okazało się, że nie miał drugiej nerki.

Nie wyrosła.

[Dumeczka cicho stęknęła. Kiedy na nią spojrziałem, leżała nieruchomo z zamkniętymi oczami, jakby pozbawiona przytomności.]

- Tak, tak, mili moi – powiedziała piastunka, ze zmarszczonymi brwiami przyglądając się świecy, która obłożona spalonymi, podtopionymi w wosku ćmami, przypominała wierzbę wziętą na cel przez kanonierów. – A tymczasem szesnastoletnie bliźniaczki, Rydułtowa i Pasterza, miały dla ojca j e s z c z e l e p s z y prezent!

- Jeszcze lepszy? – ocknęła się Dumeczka. – Od kakao i wysiorbca? Czy to możliwe?

- Nie tylko możliwe, ale udowodnione w akademii chirurgicznej dwa lata temu. Słuchajcie, moje skarby. Otóż po śmierci żony w kwasie, Wyptak, któremu serce pękło, ogłosił, że radość życia będzie mu mogła przywrócić tylko kobieta takiej samej urody i charakteru. Zdobiona na brzuchu tym samym tatuażem drzwi stalowych z okrętu pancernego amerykańskich konfederatów.

Żadnej innej nie chce, a skoro dzieci chcą zobaczyć jeszcze kiedykolwiek jego „słynny w magistracie senatorski uśmiech, to niech się postarają”.

A rzeczywiście zakochane w ojcu dzieci starały się bardzo. Niestety, trzyletnie poszukiwania wybranki, poprzez rozsyłane po Europie płaskorzeźby-rylcopisy nie przyniosły efektu.

Owszem, zgłosiło się dużo czarownic, w tym jedna z koźlem przyrośniętym do podbródka, lecz to nie było to...

Aż wreszcie obie zdeterminowane córki, Rydułtowa i Pasterza, wyprosiły pomoc u samego królewskiego alchemika Połczyzna-Chinina. Połczyn-Chinin dokonał rzeczy niebywalej – stworzył k l o n uśmierczonej, hm, co tu mówić – r o z k w a s z o n e j żony Wyptaka!

Klon idealny.

Jak to klon.

Rzecz jasna, i on stał u wezłowania łóżka solenizanta w tamten poranek, uśmiechając się promiennie i zachęcająco obnażając tatuaż z drzwiami pancernika Konfederacji...

Cóż... Na próżno.

- Nie ma co się dziwić, że wpadli w furję i go dobili workami – rzekł przez zęby rozżalony Bełk.

- No tak i mnie się wydaje. Ale to nie wszystko. Kuzyn Wyptaka, Argajl, gdy stał przy jego łożu drżący ze szczęścia i obwiązany serpentyną, trzymał za plecami prezent równie nietuzinkowy, co inne.

Była to broń, o której marzyli w tamtym czasie wszyscy Europejczycy, a którą uważało się za bezpowrotnie zaginioną: słynny miecz kryształowy Sztormowiec.

- A więc ten miecz naprawdę istniał... - zamyśliłem się. - Ja też o nim marzyłem...

- Nie dziwię się, miły mój. Sztormowiec miał tę właściwość, że nawet, gdy jego właściciel legł na polu bitwy, to on sam, w całej swej kryształowej postaci, walczył dalej samodzielnie, wirując w powietrzu niczym świetlisty sierp śmierci i kosząc zdezorientowanych wrogów.

Przy czym kosił tak długo, dopóki nie upadł ostatni przeciwnik w promieniu siedmiu metrów, albo nie odwołano go kodem sygnałowym z dmuchawki amazońskiej.

O ile wcześniej nie skorodował.

A że był kryształowy... Rozumiecie. Miecz-marzenie.

- Rozumiemy - wyszeptał Bełk i aż zachrząścił zbroją, wierząc się w podekscytowaniu.

- Ten miecz powinien trafić do króla Jada! - rzekłem stanowczo. - Co się z nim stało?

- Kuzyn Argajl chciał go wręczyć Wyptakowi w uroczystym opakowaniu z tarniny, ale ten osioł, jak wiecie, wystrzelił z łóżka głuchy na zachęty.

To Argajl pierwszy chwycił za worek z piaskiem.

Źle znosił rozczarowania.

Jak każdy Wartburczyk, tak po prawdzie.

Ale też wypada Argajla usprawiedliwić. Kiedy komuś wręcza się miecz kryształowy, to ostatnie, czego się oczekuje w ramach wdzięczności, to jakieś trwożliwe krzyki i wierzgnięcia.

Rozżalony Argajl zakopał miecz w ogrodzie, a żeby nie kusiło go zdradzić kryjówki, wbił sobie brzeszczot w gardło.

- O, nie - byłem bliski płaczu. - Sztormowiec przepadł na zawsze!...

- Jak wszystko, co Purponi zapisali w bajkach. Wszak nie bujdy to lukrowane niczym pierniki ojcowskie, lecz prawdziwe historie gatunku ludzkiego.

Sztormowiec, istotnie, przepadł.

Z innych prezentów, które odrzucił - bo tak to chyba trzeba nazwać - ojciec Wyptak, wymienię wam jeszcze dwa. Jego najmłodszy brat, Czerw, zamierzał wręczyć mu nominację na warchoła w złożonych ramkach ze szpiku kostnego prarekina megalodona, zaś bratanica była gotowa zawiązać mu opaskę na oczach i zaprowadzić do kolejnej niespodzianki. Pod schodami ganku wykopała przypadkiem złożę rubinów: 80 000 równo odlanych, czerwonych jak krew kul, wielkości jabłek.

W drżącej dłoni trzymała tę opaskę, którą szyła z włosów pajęczaków osiem miesięcy tylko na tę okazję.

Na próżno.

Bratanica przeżyła zawód tak samo dotkliwy jak cała reszta. Worki z piaskiem, jasne.

Gdy nietaktowny ojciec zmarł, rodzina wpadła w skrajną żałobę. Zwłaszcza, że znaleziono zwłoki kuzyna Argajla i beznerkiego Tamburyna.

Los klona żony Wyptaka był przesądzony. Stworzona dla zeszłego ojca i niedoszęłego warchoła klonówna nie potrafiła odnaleźć się w rzeczywistości.

Skoczyła do przepaści.

O determinacji klona świadczy chyba fakt, że przewędrował pół Europy, aby odnaleźć góry z przepaścią.

A reszta rodziny? Wybuchły kłótnie, swary, padły zarzuty - wypowiedane w języku holenderskim, żeby ton nabrzmiał większej surowości - o worki z piaskiem, o rubiny, o klona, o nominację... W ruch poszły pięści, noże siekiery, łuki z za węglą... Zatrowano sobie nawzajem posiłki, podrzucano potrzaski na lisy pod pierzyny czy płaszcze, osy morskie pod prysznic...

Jednemu z Wyptaków pod poduszkę podłożono rosomaka rozdrażnionego serią zastrzyków sterydowych i kroplówkami wegańskimi. Drugi naciął się zbiegając po schodach, gdy w miejsce poręczy bukowej podstawiono przetkane żyłką wędkarską skorpiony cesarskie i żmije irańskie.

Mroczna atmosfera przeciągała się, ponieważ mimo pełni dnia, tego i następnych, na zewnątrz trwała Noc Wartburgii, wyjątkowo rozwlekła owego roku. Co więcej, wampiry dopadły kilkoro mniejszych Wyptaków w domowej kaplicy i zadławiły ich cebulami czy może renklodami, po czym wypity z wszelkiej zawartości tak silnie, że to, co z nieboraków pozostało, przesytyło na jesionki.

Horda upojonych sokiem z brukwi wilkołaków wrzucała przez stłuczone szyby płonące węgle do salonu, toteż z poddanego okrażeniu budynku nikt nie kwapił się wyjść, mimo nieprzerwanego żniw śmierci wojny domowej.

A jednak i w bajce purpońskiej zdarza się szczęśliwy akcent, być może na skutek omyłki...

- ...kartografa Kanadyna - wyszczerzyłem zęby, bo już minął mi żal po Sztormowcu.

- Oto bowiem po upływie dwóch tygodni Noc Wartburgii przeszła i nastał nareszcie prawdziwy, odprężający dzień. Wróble przestały przypominać pterodaktyle i odrywać dachówki z dachu i przestawiać komin. Wszelkie pomioty uszły w góry łupkowe.

Straty jednak jakieś były. Przy życiu pozostały jedynie owe bliźniaczki: Rydułtowa i Pasterza.

Fakt, że w niezłej formie.

Pierwsza miała wykłute oczy i skórę zdartą z nóg, przy czym wlokła ją za sobą niczym parawan na plażę.

Drugiej doskwierało odcięcie nogi i rozpuszczona wątroba.

Siostry pojęły jednak, że trzeba przerwać koszmar, gdyż „dobro rodziny jest najważniejsze”.

Jak już zaznaczyłam, Wiślanie byli silni duchem i podkreślali znaczenie rodzinnych więzi i wolę przetrwania rodu. Bliźniaczki objęły się szczerze i zapłakały. By uczcić zgodę i wstępnie nakreślone plany architektoniczne dla Wartburga, postanowiły wypić po szklance wódki.

„Mojej wątrobie i tak nic nie zaszkodzi” – śmiała się uszczęśliwiona Pasterza, napełniając drżącą ręką szklanki. Siostry zapomniały, niestety, że choć upiory odeszły, to w domu nadal roїto się od pułapek. Włać kwas siarkowy do butelki po wódcę – to był pomysł Tamburyna.

Albo Argajla.

Choć Czerw kręcił się przy alkoholu najczęściej.

Najpewniej zrobił to jednak sam Wyptak, który krytykował rodzinę za uzależnienia, „przez które przegrywał zwycięskie kampanie”.

Pasterza napiła się pierwsza... Chciwie, gdyż znana była z alkoholizmu nawet w sąsiedniej gminie, gdzie zbierała butelki. Rydułtowa usłyszała charkot, syk i dziwne bębnienie, jakby ktoś kozłował piłką. To kwas rozpuścił szyję siostry i głowa jej spadła jak cylinder z wieszaka na płaszcze. Czego Rydułtowa nie widziała, gdyż wcześniej została oślepiona przez Opętę. Nie mniej, kiedy opadła na kolana i namacała głowę Pasterzy, pojęła straszną prawdę.

Długo płakała i biła głową o ścianę.

- Czyją głową? – wycharczał Bełk.

- Siostry, oczywiście. Nie myślcie jednak, że się poddała. Rodzina Wyptaków to nie była chwiejna zbieranina zielarzy wrażliwych na zderzenie czołowe z pszczołą. Rydułtowa pozbierała wszystkie kawałki krewnych i pochowała z honorami. Był grill i salwy z arkebuza.

Potem zdemontowała pułapki, co jedynie przypłaciła utratą rąk i słuchu.

Trzymając pędzel w zębach, przemaalowała cały dom na kolory odnowy: żółty i jasnozielony. Gdy skończyła, otworzyła butelkę szampana i nieśmiało zaczęła odczuwać szczęście.

Godzinę później meteor uderzył w dom. Z dzielnej Rydułtowej nie zostało nic oprócz drobnoustrojów.

A że meteor był duży, spłonęły jeszcze trzy sąsiednie gminy, a także sam król Sławoj, który wędrował z orszakiem po kraju i kontrolował higienę wsi narodowej.

Podczas liczenia ofiar w komę lub wstrząs toksyczny wpadło jedenastu rachmistrzów. Wliczając ich w cały ten nocnowartburiański niefort Wartburczyków i ich sąsiadów, zginęło 100 000 ludzi.

KONIEC

Panowała cisza. Tylko ćmy atakujące płomień skwierczały, co dawało iluzję jajecznicy szykowanej zwyczajowo na sobotnie śniadania. Pomoria przypatrywała się nam z łagodnym półuśmiechem, przesuwając długimi palcami po zebranych wcześniej nocnym orężu.

Zamyślona Dumeczka leżała na plecach ze wzrokiem utkwionym w gnieździe ćmiej forpoczy.

Z wysiłkiem odszukałem spojrzeniem Bełka. Jego oczy błyszczały pod łóżkiem, jakby był winowajcą, co meteor sprowadził.

- Liczyłeś, braciszku? – zapytałem.

- Tak. 100 000. To by się zgadzało.

On był naprawdę znakomitym w rachunkach, tak samo, jak w upuszczaniu krwi.

Wróciłem spojrzeniem do piastunki.

- Ta bajka jest jeszcze straszniejsza od poprzedniej, odbiera nadzieję na cokolwiek. Właściwie czarno na białym udowadnia, że optymizm jest chorobą umysłu.

- Oczywiście. Zakon czupakabrystów koźlich z podzamcza wytrenował hufiec egzorcystów do leczenia z optymizmu jako rozbrajającego monarchię opętania komsomolskiego.

- To chyba udowadnia, że cokolwiek stworzymy, i tak strawi to ogień, albo zaproszony przez człowieka, albo przez siły kosmiczne.

- Bo tak też jest, Harpie. Trwałość jest omamem chichoczącym na wargach diabła... Czyżbym... - zmarszczyła czoło i nos, po czym przysunęła się do okna - ...słyszała furmankę waszego ojca?

- Tatuś! – podskoczył Bełk radośnie, uderzając z łomotem głową w spód łóżka. - Tłghjkklll... - wybełkotał z nieco słabszym entuzjazmem.

- Och, a co z bajką trzecią – zmartwiła się moja siostra.

Pomoria zmarszczyła brwi, patrząc w dół, na dziedziniec.

- Ojciec nie przyjdzie tak prędko. Nim zawita do sypialni obcałować was na sny karmelowane, jak zwykle, sprawdzi kolejno cukiernię na końcu korytarza, potem lukiernię, pudernię i wreszcie wafelnię. Myślę – obróciła się ku nam z porozumiewawczym błyskiem w oku – że zdążę opowiedzieć wam jeszcze jedną bajkę Purponów, nim stanie w progu. Czy jednak na pewno tego chcecie? Ty bowiem, Harpie, wyglądasz na podnieconego do morderstwa seryjnego, Bełk jakby dyfterytu zaznał, a Dumeczka bliska połogu się zdaje...

Podskoczyłem oburzony w pościeli, siostra moja fuknęła złożywszy demonstracyjnie ręce, a braciszek nasz mały wychynął spod łóżka ze zręcznością jaszczurki. Zaraz jednak po tym pokazie urazy uśmiechnęliśmy się i prosząco, i radośnie, bo tak, jak oczywista była nasza odpowiedź w tej sprawie, tak filuterne światełka w oczach piastunki też nie mogły obiecywać rozczarowania.

- Prosimy! - zawołałem.

- Błagamy! - Tym razem dłonie siostrzyczki złożyły się jak do modłów.

- I bardzo cię, Pomorio nasza, kochamy! - uzupełnił Bełk, wypełnawszy na pierzynę.

Piastunka pokiwała głową.

- Wszystko rozumiem - uśmiechnęła się. - Gdy miałam sześć lat, mój wuj Arobal opowiedział mi bajkę purpońską. Odtąd nie chciałam innej słyszeć. Pamiętajcie jednak: nie wygadajcie nikomu na dworze, bo mnie przeciągną pod lodem w Królewskiej Akademii Łyżwiarstwa jak pod kilem kiedyś u kaprów helskich, gdy murek zaparzyła załodze. Ojcu kłamać nie należy, lecz dopóki nie spyta, też się moim bajaniem purpońskim nie chwalcie. Ojciec wiele zjadł aspartamu i duch ma raptusa.

- Bądź spokojna, Pomorio! - zapewniłem żywo i serdecznie.

- Dobrze więc, dzieciętki. Opowiem szybcuteńko ostatnią prawdziwą historię, którą mi sam Purpon wyjawiał czterdzieści lat temu. Ja umysł utrzymałam w całości, zaś trzy moje towarzyszkę zabiły się jeszcze przed wysłuchaniem tej opowieści do końca, tak jest gnębiąca. Jeśliście myśleli, że „Noc Wartburgii” odbiera moc i nadzieję, to był to błąd młodzieńczy z pozycji kojca uczyniony... CZY NA PEWNO CHCECIE?...

- TAK! - huknąłem.

- Tak - szepnęła Dumeczka.

- T... - dobiegło spod pierzyny nie gromko, ale wszak lojalnie.

Pomoria spuściła zadumane oczy na swoje trzewiki, wykonane z jenocich pysków.

- To potworna bajka, jako że w pełni prawdziwa. Znana jest wszystkim jako

BIES BAMPERWILLÓW.

- Pies?

- Bies.

- Basker...

- Bamper. Bamperwillów. Nie należy mylić biesa Bamperwillów z psem Baskerville'ów, tym albiońskim pinczerem wielkości kury, którego fosforem ze szprotów czy może gencjaną wysmarowano na demoniczny wygląd, żeby farmerów straszył zabobonnych ku uciechu arystokracji...

[CDN]

Autor: hussair

Artykuł pobrano ze strony eioba.pl